

# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

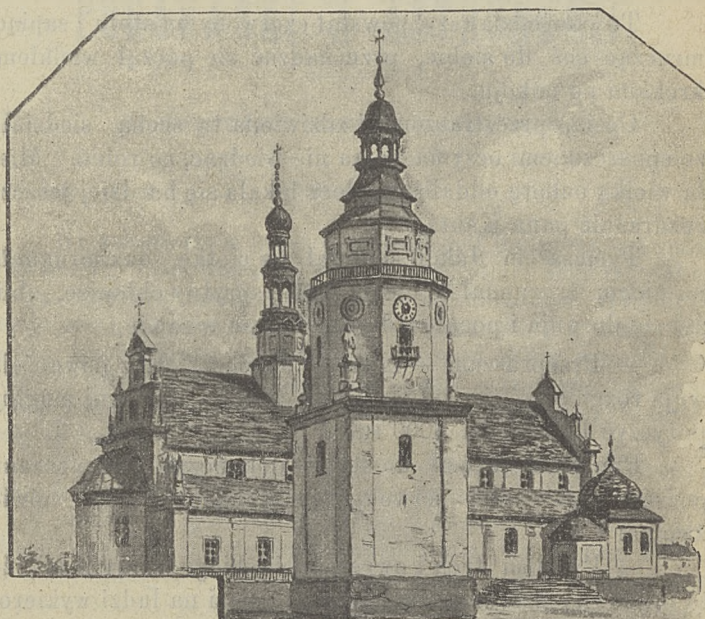
## JUBILEUSZ BISKUPA KIELECKIEGO.



J. E. Tomasz Kuliński, Biskup Kielecki.

w Kielcach, a w trzydzieści jeden lat potem — biskupem diecezji Kieleckiej.

Niezależnie od obowiązków swego dostojęstwa, czcigodny pasterz zajmuje się gorliwie sprawami miłosierdzia; jest prezesem Towarzystwa Dobroczynności i łoży hojne ofiary na budowę i odświeżanie kościołów, na szpitale i ubogich swojej diecezji, to też w dniu 3 września Kielce zawarzały niezwykle ożywieniem, bo na obchód jubileuszowy zjechało się bardzo wiele duchowieństwa i osób świeckich z różnych stron kraju.



Katedra  
w Kielcach.

Jan Olczewski



Miasto Kielce należy do najstarszych w kraju i leży w prześlicznej okolicy, usianej wzgórzami, które piętrząc się coraz wyżej, zamykają widnokrąg pasmem gór Łysych. Stare kroniki wspominają o istnieniu tu osady już w połowie XII wieku, a Kromer założenie grodu przypisuje Godkowi, biskupowi krakowskiemu w 1173 roku. Najwspanialszą budowlą w Kielcach jest był zamek biskupi, obecnie gmach rządu gubernialnego, wzniesiony w r. 1638. Jest to budowa nader oryginalna, bo kwadratowa i z tego powodu nie jednym, lecz dwoma dachami pokryta, które łączy wspólna rynna, zwana szultajem. Po rogach wznoszą się cztery ośmiokątne baszty.

Zamek, w którym przez czas jakiś przebywał Karol XII król Szwedzki, posiada wielkie komnaty, a najwspanialszą z nich jest sala środkowa z portretami biskupów krakowskich, malowanymi na ścianach.

Niedaleko od zamku stoi również starożytna katedra ze wspaniałą dzwonnica. Widzimy więc, że zarówno jak Sandomierz, Kielce zasługują na zwiedzenie, tembardziej, że z rozwojem przemysłu górniczego w gubernii, miasto coraz się powiększa i podnosi.

## WZAJEMNA POMYŁKA.

POWIEŚĆ

p. Teresę Jadwigę.

(Dalszy ciąg).

— Któż ci powiedział, że odmawiam! — krzyknął. — Ot widzicie, młokos, gorączka!... Czemu nie mówisz do mnie otwarcie, mam prawo i ja odpowiadać wymijająco... Bawmy się w ślepą babkę, kiedy chcesz!

To powiedziawszy, powstał czerwony od stołu i sapiąc, mruczając coś do siebie, przechadzał się począł wielkimi krokami po pokoju.

Cesia, przestraszona i zdziwiona tą sceną, siedziała ze spuszczonej oczyma, sama nie wiedząc, co robić. Miała wielką ochotę oddalić się, lecz lękała się bardziej jeszcze rozdrażnić pana Kanta.

Tymczasem Jakób spojrział na ciotkę, ona mrugnęła na niego; zrozumiał tę niemą mowę sprytny chłopiec, zbliżył się do wuja i pocałował go pokornie w ramię.

— Przepraszam — rzekł — nie chciałem z pewnością wuja rozgniewać, zapytuję teraz jasno. Czy wuj mógłby pożyczyć Liwskiemu 5000 rubli?

Pan Kant wrócił do stołu, dokończył jeść pieczeni, poczem usta otarł serwetą, chrząknął i począł mówić zwolna:

— Pytałem tych i owych o Liwskiego, mówili mi, że to pracowity człowiek, oszczędny i dzieci na ludzi wykierował. Nie z własnej winy wystąpił z kolei... pożyczę mu zatem; ręka rękę myje, noga nogę wspiera, człowiek człowieka w niedoli ratować też winien. Niechaj sam przyjdzie wszakże do mnie, poprosi o pożyczkę, wówczas umówimy się o termin oddania i o procent; może być spokojnym, lichwiarski nie będzie, ale bez procentu nie pożyczę; trudem

i potem zbierałem majątek, grosz uciulany w młodości powinien mi grosz rodzić na starość... Powiedz Liwskiemu, aby przyszedł jutro do mnie w południe, a załatwimy interes.

Jakób pocałował powtórnie wuja w ramię.

— Dziękuję — rzekł.

Pan Kant coś mruknął i poszedł do siebie, by fajkę jak zwykle po obiedzie wypalić.

— Dziękuję kuzynkowi, iż trudził się dla mnie — odezwała się o wiele cieplej teraz Cesia do Jakóba — jutro spotkamy się w muzeum.

— To znaczy: nie wstępować po mnie — rzekł Jakób.

— Tak będzie lepiej — odparła dziewczynka i podawszy mu rękę, uściśnęła serdecznie, poczem oddaliła się; przypuszczała bowiem, że ciotka pragnie z bratankiem swobodnie o Liwskim porozmawiać.

— Za wcześniej napisałam do Reni — rzekła wszedłszy do swego pokoju — inny to trochę z pozorów świat, do którego teraz weszłam, ale i tutaj szlachetnych ludzi bardzo wiele i tutaj dobro bliźniego nie jest dla drugich obojętne. Trzeba zamknąć oczy na to, co trochę razi, a otwierać szeroko na to, co budzi w duszy uznanie; lepiej mi wówczas tutaj będzie. Wolałabym, żeby pan Kant o procencie nie był wspominał, lecz mniejsza już o procent, poratował wszakże biedaka... Wuj Wątowski jednakże nie pomyślał o korzyści osobistej, gdy pożyczał dawnemu sąsiadowi — dodała po chwili, a w tonie jej głosu zabrzmiało zadowolenie; serce sieroty widocznie przechylało się na stronę rodziny matki.

Nazajutrz Cesia doniosła pannie Domiceli, iż rozpoczęła już lekcye w muzeum i prywatne w domu.

„Dobrze mi tutaj, lecz tęsknie za swoimi” pisała, „ciocia Kantowa jest o mnie niezmiernie troskliwa, wuj bardzo grzeczny dla mnie, mogę tutaj dużo skorzystać i starać się będę o to, ale mi smutno do was.”

Czynne życie, jakie wieść rozpoczęła Cesia, uciszyło jednakże powoli ową tęsknotę; prowadziła dnie nie tylko pracowite, lecz i jednostajne, w jedną tyłką niedzielę używała trochę rozrywki; pani Kantowa brała ją zawsze z sobą na niedzielne zebrania.

## ROZDZIAŁ V.

Na scenie teatru Wielkiego artyści Warszawscy grali Hamleta. Helena Modrzejewska występowała w roli Ofelii. Cesia była zachwyconą; siedziała w łoży parterowej z panem Wąrowskim i Reginą, widziała poraz pierwszy na scenie dramat mistrza angielskiego i poraz pierwszy słyszała genialną naszą artystkę. W skupieniu i milczeniu przysłuchiwało się całe towarzystwo w łoży temu dziełu, chwytając skwapliwie głębokie myśli Szekspira. Dopiero, gdy akt się skończył i kurtyna zapadła, poczęła się wzajemna wymiana wrażeń.

— Wspaniały dramat i wspaniałe grany — odezwał się pan Wątowski — lubię takie ucztę duchowe, czuję się podczas nich wzruszonym i podniesionym; nie żałuję, że uległ prośbom Reginy.

— Może Szekspir sprawi, iż wuj dłużej zabawi w Warszawie? — zapytała Cesia — tak mi dobrze z wami, takbym chciała, żebyście choć miesiąc tutaj pozostali.



— Teraz na wsi niema co robić, może ci dogodzę — odparł pan Wątownski.

Cesia zarumieniała się z radości; tydzień dopiero upłynął od przyjazdu pana Wątownskiego do Warszawy, ten tydzień minął dla dziewczynki szybko, jak sen rozkoszny; całe niemal dnie spędzała z Renią; pracę swoją przerwała, było jej tak dobrze, tak bardzo z nią dobrze. Ludwika nie przyjechała z panem Wątownskim, nikt nie przerywał im poufnych rozmów, nikt nie ranił Cesi bolesnemi słowami. Lecz stała się jedna rzecz zła z powodu tego przyjazdu, z której dziewczynka jeszcze nie zdawała sobie sprawy.

Cesia już się oswoiła z tem wszystkiem, co ją trochę raziło na wstępie w domu państwa Kantów, teraz jednakże, gdy dnie całe spędzała z wujem i Renią, wróciwszy wieczorem do ciotki znowu spostrzegać poczyniała to, z czem się już zżyła. Wychowała ją matka, mająca wielkie wymagania co do form światowych, odziedziczyła po niej poczucie estetyczne w wysokim stopniu, więc przykreść sprawiło jej wszystko, co było niezgodne z dobrym smakiem, lub dobrym tonem.

Dzisiaj dziwnym przypadkiem nie było nikogo w teatrze z nowo poznanej rodziny, Cesia była temu wielce rada. Wtem drzwi łoży skrzypnęły, ktoś wszedł; Cesia pomyślała, czy to nie Jakób Menkel i obejrzała się niespokojnie za siebie; lecz płonne były jej obawy: na progu łoży stał młody człowiek, smukły, poważny i pełen dystynkcji w ułożeniu. Był to inny zupełnie typ od rubasznych nieco młodzieńców, spotykanych przez Cesię na niedzielnych zebraniach.

Złożywszy głęboki, lecz pełen godności ukłon, młody człowiek wszedł do łoży i uściśnął wyciągniętą dłoń pana Wątownskiego.

— Czy państwo dawno w Warszawie? — zapytał.

— Od tygodnia — odpowiedział pan Wątownski — przyjechaliśmy odwiedzić moją siostrzenicę, której przyszła fantazyja uczyć się ogrodnictwa.

Wyraz fantazyja zaakcentował, jakby chciał dać do zrozumienia, że Cesia nie jest zmuszoną pracować.

— Pozwól, że cię przedstawię — dodał.

— Pan Zdzisław Ruszczyk — rzekł.

Zaproszony uprzejmie przez pana Wątownskiego, Zdzisław zajął czwarte krzesło w łoży i potoczyła się ożywiona rozmowa zrazu o przyjemnościach wsi i miasta, potem o Szekspirze. Wytworny młodzian wytwornie się wysławiał, a zdania jego cechowały wykształconego człowieka. Cesia słuchała go z zajęciem i brała udział w rozmowie, on zwracał się często do niej.

— Czy pani czytała Szekspira w orginale czy w tłumaczeniu? — zapytał naraz.

— Czytałam go w tłumaczeniu francuskim — odparła Cesia — a raczej nie czytałam, tylko słuchałam; matka moja nie chciała mi nigdy dać książki do ręki.

— I dobrze zrobiła — odparł Zdzisław — poznała pani tym sposobem piękne strony tych arcydzieł, a uniknęła tego, co razi smak estetyczny. Szekspir wyraża się często tak trywialnie, tak po mieszczańsku.

Wyraz ten wywołał rumieniec na twarzyczkę Cesi, nie odpowiedziała, lecz on nie spostrzegł tego, gdyż właśnie kurtyna się podniosła, skłonił się przeto i wyszedł.

Renia i pan Wątownski z równem zajęciem, przy-

słuchiwali się drugiemu aktowi, Cesi myśli były trochę rozproszone.

Podczas drugiego antraktu Zdzisław nie pojawił się w łoży, a nawet w krzesłach panienki dopatrzyć go nie mogły.

— Czy pan Ruszczyk stale mieszka w Warszawie wuju, czy bywał kiedy w Wątownce? — zapytała Cesia — nigdy mi o nim wuj nie wspomniał, kto to jest, a raczej kim on jest?

— Jest to bratanek mego serdecznego przyjaciela i kolegi szkolnego, Antoniego Ruszczyka — odparł pan Wątownski. Antoni mieszka pod Warszawą w Ruszczykach i nie ma dzieci, Zdzisław jest jego spadkobiercą. Dwa lata temu Antoni z bratankiem odwiedzali mnie w Wątownce.

— Czy pan Zdzisław niema rodziców? — spytała Cesia.

— Ma rodziców ma i cztery siostry, musiał wszakże opuścić dom ojca, którego wieś bardzo jest zadłużona; teraz mieszka przy wuju.

— Czemuż siostry pana Zdzisława nie starają się wyrobić sobie stanowiska niezależnego — spytała Cesia.

U nas na wsi jeszcze w wielu miejscach niechętnie się na to zapatrują — odparł pan Wątownski.

Cesia zamyśliła się czegoś bardzo, pan Wątownski zwrócił rozmowę na Szekspira, przytaczał piękne myśli z innych jego utworów, ona milczała.

Po chwili rozpoczął się akt trzeci; znowuż zwrócili wszyscy spojrzenia na scenę i uważnie słuchali. Podczas ostatniego antraktu zjawił się powtórnie w łoży Zdzisław z wielkiem pudełkiem cukierków, które Reni ofiarował.

(d. c. n.)

Sawel Trzeciński.

## POGADANKI Z ASTRONOMII.

### O mierzeniu czasu i kalendarzu

(Dalszy ciąg)

Na zakończenie naszej przydługiej już nieco gawędy o liczeniu godzin, dodamy jeszcze następujący ciekawy fakt, który czytelnicy zechcą sami sobie wytłumaczyć. Gdybyśmy ze wschodnich krajów Syberyi wysłali do Warszawy depeszę telegraficzną bezpośrednio przez Azyę o południu dnia 10 Marca, to depesza taka będzie otrzymana na miejscu w nocy z dnia 9 na 10 ty, a więc chronologicznie *wcześniej aniżeli była wysłaną*.

Przekonał się tedy, że średnia doba jest jednostką ściśle określoną, stałą i niezmienną. Gdybyśmy jednak chcieli za pomocą tej tylko jednostki obliczać daty chronologiczne chociażby od narodzenia Chrystusa Pana, to otrzymalibyśmy takie olbrzymie liczby, że nie byłibyśmy w możności ani je zachować w pamięci, ani też zorjentować się w nich, ponieważ w obecnej chwili przekroczylibyśmy już cyfrę półmilionu. Należało więc wyszukać inne, nie mniej dokładne, ale pomimo to nieco dogodniejsze w tym względzie jednostki czasu. Jednostki te są następujące: *tydzień, miesiąc i rok*. Zanim przejdziemy do szczegółowego ich zbadania, zaznaczyć tu musimy przedewszystkiem okoliczność nadzwyczaj ważną, która stała się jedynym



powodem pewnej nierozwikłanej dotychczas gmatwaniny, panującej we wszystkich naszych kalendarzach. Otóż cała trudność polega na tem, że trzy wymienione wyżej jednostki, tydzień, miesiąc i rok, nie mają między sobą nic wspólnego, a nawet nie są współmierne. Rok więc nie zawiera w sobie całej liczby miesięcy, a miesiąc całej liczby tygodni; wreszcie ani rok, ani miesiąc nie zawierają w sobie całej liczby dni. Ztąd też w kalendarzach naszych panuje pewien chaos, który zrozumiemy łatwo z dalszego wykładu.

*Tydzień*, składający się z siedmiu dni, jest to jednostka obrana zupełnie dowolnie i nie odpowiada żadnemu okresowi astronomicznemu. Pochodzenia jego szukać raczej należy w pewnych obrzędach religijnych ludów starożytnych, o czym zdają się nawet świadczyć same nazwy dni tygodnia, które u rzymian były następujące: Dies Solis (dzień słońca) Niedziela, Dies Lunae (dzień księżyca) poniedziałek, Dies Martis (dzień Marsa) wtorek, Dies Mercurii (dzień Merkurego) środa, Dies Jovis (dzień Jowisza) czwartek, Dies Veneris (dzień Wenery) piątek i Dies Saturni (dzień Saturna) sobota. Brzmienia te zachowały się dotychczas w językach narodów romańskiego szczepu, na przykład we francuskim (Lundi, Mardi, Mercredi, Jeudi, Vendredi, Samedi.)

*Miesiącem* zwiemy okres mniej więcej trzydziestodniowy, w ciągu którego księżyc kończy swój obieg dokoła ziemi i przechodzi przez wszystkie fazy od jednej pełni do drugiej. Ponieważ ruch postępowy księżyca i zmiany jego faz dają się dostrzegać łatwiej aniżeli pozorny ruch słońca, przeto wszystkie bez wyjątku starożytnie ludy, jak Egipcyanie, Grecy i Rzymianie oparli swój rachunek czasu na tym mianowicie wyraźnym ruchu naszego satelity, wprowadzając tak zwany *rok księżycowy*, składający się z dwunastu miesięcy. Gdyby peryod obiegu księżyca dokoła ziemi, a raczej odległości dwóch jednoimiennych faz, wynosił istotnie 30 dni, peryod zaś obiegu ziemi dokoła słońca 365 dni 5 godzin, 48 minut 46 sekund (365,2423 dni). Chcąc tedy zapobiedz tej nieprawidłowości, starożytni astronomowie zaczęli liczyć miesiące kolejno po 29 i po 30 dni. Ztąd powstał rok księżycowy, zawierający w sobie dni 354, zwany także *rokiem ruchomym*. Wprawdzie przy takim rachunku zmiany faz księżyca przypadały istotnie w odpowiednie dni miesiąca, ale natomiast dostrzeżono wkrótce, że peryod 354 dni nie zgadza się wcale z istotnymi zmianami pór roku.

Przyczyną tego zjawiska była różnica  $11\frac{1}{4}$  dni pomiędzy peryodem obiegu ziemi i rokiem księżycowym. Istotnie bowiem, jeżeli w pewnej epoce wiosenne porównanie dnia z nocą, czyli początek wiosny, przypadało, przypuśćmy w marcu, to po upływie trzech lat, kiedy powyższa różnica dosięgła  $33\frac{3}{4}$  dni, musiało już ono przypadać w kwietniu, potem w maju i t. d. przechodząc kolejno przez wszystkie miesiące, stąd właśnie powstała nazwa roku *ruchomego*. Ażeby uniknąć takiej pętlaniny Rzymianie radzili sobie w ten sposób, że co drugi rok dodawali do starożytnego kalendarza Numa Pompiljusza jeden miesiąc, zwany Marcedonius, zawierający w sobie 22 dni. Miesiąc ten dodatkowy wstawiano pomiędzy 23 i 24 Lutego.

Starożytni Egipcyanie pierwsi wprowadzili u siebie rok, składający się z 12 miesięcy po 30 dni każdy i z pięciu dni dodatkowych. W ten sposób rok egipski zawierał w sobie dni 365, czyli różnił się od istotnego o sześć niemal godzin. Różnica ta, wynosząca dobę już po upływie lat czterech, po latach 120 stanowiła cały miesiąc, w okresie zaś lat 1460 każda z pór roku przechodziła kolejno przez wszystkie miesiące. Peryod ten znany był egipcyanom i zwali go oni *peryodem Sothycznym* (od Soth — Syryusz — gwiazda, którą szczególnie obserwowali Egipcyanie, ponieważ zjawienie się jej nad horyzontem zwiastowało blizki wylew Nilu.)

Grecy wprowadzili u siebie tak zwany *cykl Metona*, (w roku 430 przed Chr.) zawierający w sobie lat 19, z których dwanaście liczono po 12 miesięcy, siedm zaś po miesiący trzynaście. Przy takim rachunku błąd wynosi zaledwie cztery godziny na 19 lat, co stanowiłoby dobę dopiero po upływie stulecia.

Teraźniejszy tak zwany *juljański kalendarz* (starego stylu) wprowadzony został w Rzymie za panowania Juliusza Cezara w roku 44 przed Nar. Chr. Za poradą wezwanego w tym celu egipskiego matematyka Sozygenes, Juliusz Cezar wydał edykt, mocą którego rok miał liczyć na przyszłość 365 dni i 6 godzin, a więc zgadzał się niemal zupełnie z istotnym peryodem obiegu ziemi dokoła słońca (czyli, jak wówczas przypuszczano, słońca dokoła ziemi). Dla ułatwienia jednak rachunku w kalendarzu tym przyję-



Narożna wieża  
zamku  
w Kielcach.



Do pow. „Trzydzieści lat wśród dzikich.”



Anglicy strzelają do Rougemonta, biorąc go za dzikiego.

to czteroletni peryod i pierwsze trzy lata tego perjodu liczone po dni 365, ostatni zaś, tak zwany rok *przestępny* (u rzymian *bissextilis*, posiadający dwie szóstki) zawierać miał dni 366. Dzień ów zbywający dodawano do miesiąca Lutego, który tym sposobem w latach przestępnych liczył po 29 dni.

W ten sposób po raz pierwszy zaniechano dawnego księżycowego roku i wprowadzono w użycie rok słoneczny.

Kalendarz juljański trwał niemal bez zmiany, aż do końca XVI w. kiedy w roku 1582 z rozkazu papieża Grzegorza XIII-go wprowadzonym został tak zwany *styl gregoryjański*, czyli *nowy*, przyjęty obecnie przez większość państw i krajów. Różnica pomiędzy starym a nowym stylem wynosi dziś dni 12, a w niedalekiej bardzo przyszłości, bo od dnia 28 lutego przyszłego roku 1900 wynosić już będzie dni 13. Powodem tej niezbędnej reformy była następująca, błaha na pozór okoliczność. Rok juljański liczy, jak to już wiemy, 365 dni 6 godzin, właściwy zaś peryod obiegu ziemi dookoła słońca równa się 365 dni 5 godz. 48 min. 46 sek. Różnica to narazie nader nieznaczna, bo wynosi zaledwie 11 minut 14 sekund na rok. A jednakże, ziarnko do

ziarnka, zbierze się miarka, jak mówi przysłowie. Otóż drobna ta różnica po upływie lat 128 wynosi już całą dobę. Wprawdzie na Nicejskim Soborze, który miał miejsce w roku 325 po Nar. Chr. sprostowano ten błąd, który wynosił podówczas już około trzech dni; nie przedsięwzięto jednakże środków w celu usunięcia go na przyszłość.

(d. n.)

## Jan Niewdźyd

Powieść z dawnych czasów

przez

Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

— Niewdźyd zbiera węzełki—rzucił Marek.  
— Szczęśliwy mazur!  
— Szczęśliwy! powtórzono zgodnie.  
— Mazur — więc jedyny do bitwy, choćby kłonicą! — rzucił Inocenty.  
— Bilbym i choćby kłonicą, żeby mnie jeno wzięto — zawołał, rumieniąc się błądy Marek.  
— I ja!

— I ja!

— I ja! — zawołano, nie wyłączając Inocentego.

Wtem wpadł marszałek.

— Trzech ma towarzyszyć królowi! Którzy mają ochotę? — zawołał, zadyszany od proga.

— Ja!

— Ja! — powtórzono znów chórem.

— Tylko trzech oprócz Niewdźyda!



Gmach rząd gubernialnego w Kielcach.

Jan Olczak



— Ciagnijmy na węzółki! — ozwał się Ludwik.

— Dalej, tylko prędko — rzekł marszałek.

I wyjął wielką chustkę kolorową sycową z kieszeni.

Trzy węzółki miały rozstrzygnąć losy.

Padły one na Marka, Ludwika i Inocentego.

Ostatni przyjął to z pewną obojętnością, dwom pierwszym oczy zabłyśły radością.

Wszyscy trzej jednak poszli gotować się do drogi.

Przechodząc przez korytarz, oddzielający dwór króla od królowej, Marek ujrzał uchylone drzwi, przez które wyglądała jego krewniaczka.

— Dokąd król jedzie? — spytała bez wstępu.

— Nie wiem, kazano nam się do drogi gotować — odrzekł Marek.

— Jakto, a my, a królowa?

Marek zrobił minę, że nic zgoła nie wie.

— Zresztą, co mi tam dwór, ale ja pojechałabym z wami! — rzuciła dziewczyna.

— Gdybym rozkazy wydawał, najpierwsza kolebka byłaby dla waćpanny przygotowana — odparł dwornie Marek.

Jewka nie zwróciła nawet uwagi na komplement.

— I Niewdźdź jedzie? — zapytała.

— Rozumie się!

— W cóż się obróci festyn, co powie królowa! — zawołała dziewczyna.

— O festyn waćpannie chodź! ponoć są ważniejsze sprawy, niż dworskie festyny! — rzekł Marek dobitnie.

I skłoniwszy się krewniaczce poszedł wskroś korytarza.

A idąc, słyszał gwary w komnatkach niewieścich; ochmi-strzyni nie mogła utulić królowej, która dostała serdecznego płaczu, a wśród łkania i spazmów wołała:

— Nie królową, lecz więźniem jestem w tym kraju! Zostawiają mnie na pastwę nudów i samotności! marnego festynu nie mogę nawet wyprawić!

Podzielały jej rozpacz wszystkie damy dworu z ochmi-strzynią na czele, tylko Jewka Zabierzanka ze smutną miną, powtarzała wciąż sobie:

— Sąć przecie ważniejsze sprawy, niż festyn dworski.

I poczęła łamać sobie głowę, jakie to sprawy mogą być ważniejsze nad oczekiwany przez cały dwór królowej festyn.

— Wojna!... — przyszło jej na myśl.

Zaraz jednak dodała:

— Na wojnę idzie wojsko, rycerze, szlachta...

Ba, szlachta, przecie i dowódcy też szlachta... i ja jestem szlachcianka...

I tak się srodze nad tem wszystkim zadumała, że jedna z panien dwa razy na nią wołała i aż ją w łokieć trąciła, dopiero się Jewka z swej zadumy ocknęła.

— Król jegomość przyszedł na pokoje królowej! — szepnęła panna.

— Taak?... — odrzekła Zabierzanka, i znów popadła w zadumę.

A król pożegnawszy się z małżonką według ceremoniału dworskiego, nie odrzekł nawet i słowa na natrętne pytania i pod wieczór z dość licznym orszakiem wyjechał z Warszawy.

Na zamku nie wiedziano dokąd król się udaje, a poczet towarzyszący mu, w drodze dopiero dowiedział się, że monarcha jedzie do Lwowa.

## XI.

W chwili, gdy król Michał jechał do Lwowa, miasto całe srodze było przygnębione. Doszły bowiem wieści, że Sułtan Mahomet IV z wielkimi siłami uderzył na Kamień i lada chwila go zdobędzie.

Wieść ta wywarła przygnębiające wrażenie.

— Wezmą Kamieniec, wezmą i Lwów — powtarzano, żałując ręce.

— Nie damy się! — zawołał pułkownik Eliasz Łącki.

— Król nadciągnie i da obronę! — zawołał Bartłomiej Zimorowicz \*), prezydent miasta.

— Król? — powtórzyli mieszczenie chórem i jakaś otucha wstąpiła w serca zwątpiałe.

— Nie mamy czego się obawiać; jeśli król przybywa, toć nie po to, żeby siedzieć z założonymi rękami — pocieszał Łącki.

— Zawsze i wojsko z nim, i powaga! — dodał prezydent.

Rajcowie i przedniejsi mieszczenie, spojrzeli po sobie.

— Nieraz ci już nieszczęścia spadały na nasze miasto, toć o nie nie trudno... — mówił zachmurzony sławetny Jeremiasz Wasik, rajca miasta.

— Wszelako chyba poczekamy, nie można opuszczać miasta przed przybyciem króla — odparł rajca, Mateusz Krzykos.

— Od Kamieńca do Lwowa przecie kawał drogi, nie zaraz Turek do nas dobieży, zdążymy jeszcze uciec — dodał wielce rozważny Ferdynand Sztyk.

— Chyba, że zdążymy! — przywodził inny.

I tak radząc nad własnym bezpieczeństwem, nikt nie myślał o obronie miasta, chcąc tylko zachować własną skórę.

A pan Bartłomiej Zimorowicz krzątał się i zapewniał, że z przyjazdem króla wszystko się na dobre zmieni, chcąc tym sposobem powstrzymać rajców od ucieczki i przygotować jakie takie przyjęcie na przybycie monarchy.

— Toć przecie honor miasta tego wymaga! — mówił poufnie do przyjaciela swego, pułkownika Łąckiego.

— Dla honoru grodu trzeba dużo uczynić — odparł pułkownik — ale żebym tak miał wiarę w pomoc króla...

— Cicho, cicho, mój pułkowniku — przerwał prezydent.

I zaraz dodał:

— Ja sam, tego, mości — ale nie można osłabiać ducha...

— Który i tak jest bardzo słaby — przerwał mu z kolei pułkownik.

— Nie damy się wszakże! — rzekł zacny pan Bartłomiej.

— Boga mi, nie damy! — zawołał gorąco pułkownik.

Robili więc oba przygotowania na przyjęcie króla, a wielka komnata w ratuszu przystrojona była godnie chorągwiami cechowymi i makatami, ulice zaś zielenią na przybycie monarchy.

Ale i zieleni nie nadała miastu wesołości. Było urozyste, lecz smutne. Trwoga ślaniała się wszędzie, jak ciężka przepowiednia złego, któremu nikt czoła nie śmiał, czy nie chciał stawić. Szła ze smutnym poświstem wiatru pod cieniem domów, wyglądała z ciasnych uliczek, malowała się na obliczu mieszkańców.

Smutek zaś ten musiał być bardzo widoczny, kiedy na obojętnym w ogóle, nie zważającym na to, co go otaczało królu Michale zrobił wrażenie.

Wjeżdżając do miasta, jakiś dreszcz przebiegł po nim i ręką potarł po czole.

Baczny wzrok Olszowskiego ujrzał ten gość dotąd niebywały, którego nie umiał sobie na razie wytłumaczyć.

Król nękany wciąż tym wewnętrznym dreszczem, nie spojrzał nawet na witające go duchowieństwo z biskupem na czele, przy wejściu do katedry. Nie spojrzał również wchodząc do ratusza, na garstkę rajców i dygnitarzy miejskich i ze zwykłą obojętnością słuchał mowy prezydenta miasta.

W miarę jednak jak pan Zimorowicz piękną łaciną wymawiał powitanie w imieniu miasta, i ze zwykłą sobie swadą i porywającą wymową, rozwijał myśli, wyrażające nadzieję, że miasto pod opiekunczemi skrzydłami i dzielną obroną monarchy odeprze nieprzyjaciół i wzniesie się do

\*) Ojciec poety, autora siałanek.



niebawem dotąd potęgi, król Michał podniósł głowę i spojrział na prezydenta pełnemi podziwu oczami:

— Ależ z waści uczony i mówca niepospolity. — rzekł z uśmiechem.

Prezydent skłonił się, a chociaż pochwała z ust królewskich polectała jego miłość własną, zmarszczył jednak po chwili czoło, gdy oprócz powyższych wyrazów, nie usłyszał żadnej obietnicy ni otuchy dla miasta.

— Powie zapewne później — pomyślał sobie.

Czekał tego samego podkanclerzy, spoglądając znacząco od czasu do czasu na swego koronowanego pupila. Przecież przez całą drogę i przy wjeździe do miasta kładł mu w uszy, co ma powiedzieć i kiedy, król jednak milczał uparcie.

Wszystkie oczy zwrócone były na monarchę, każdy oczekiwał jego mowy i nadstawiał uszu.

I nagle usłyszano:

— Wasze miasto robi bardzo przynębiające wrażenie!

Po tych wyrazach oczekiwano dalszych; jeszcze bardziej słuch wyteżono, a Zimorowicz myślał, że król wychodząc z tej zasady, wywiedzie myśl co do obrony i doda odwagi upadającym na duchu, pod wieścią o grasującym Turku, mieszkańcom. Napróżno jednak czekał prezydent, próżno wyteżano słuch, sądząc, że wyrazy królewskie nie dochodzą do dalej stojących.

Aż wziął na odwagę dotknięty do żywego prezydent, wysunął się i rzekł:

— Mimo radości jaką serca nasze są napełnione widokiem jego królewskiej mości, miasto nie może się zebrać na szczerą wesołość. Nieprzyjaciół grasuje w południowej części naszego kraju, Kamieniec zagrożony, jeno patrzeć a Turków ku nam posunie swój oręż; nie dziw więc, że na każdej twarzy osiadła troska, której nawet spędzić nie może widok najmiłościwszego monarchy i nadzieja, że jego prawica ochroni nas od niszczącego kraju nieprzyjaciela.

Poczem skłonił się dwornie i stanął na swoim miejscu, czekając słów królewskich.

Wszyscy znów wysunęli głowy i ustawili uszu, lecz król siedział obojętny, milczący, nie zwracając zgoła uwagi na otoczenie, ani na podkanclerza, który najwidoczniej zachęcał go do wyrzeczenia choćby słów kilku.

(d. c. n.)

## Sprawozdanie z konkursu na wypracowania.

Plan tegorocznego konkursu naszego na wypracowania, którego tematem było opisanie najprzyjemniejszego lub najgłodniejszego pamięci dnia albo zdarzenia z własnego życia, sprawił na sędziów dodatnie wrażenie, gdyż każde wypracowanie nie obracało się około tego samego przedmiotu, lecz zawierało treść inną, urozmaiconą i w większości wypadków przyjemną do odczytania.

To też sędziowie z pogodnem czołem  
Za redakcyjnym zasiedli stołem;  
I być musiała ta praca miła,  
Skoro ich nuda nie nawiedziła,  
Bo choć czytali długo, zawzięcie,  
Nie przeleciało żadne ziewnięcie,  
Lecz szept biegł nieraz w lewo i w prawo:  
„A! wcale nieźle. — A, brawo! brawo!”

W istocie treść wypracowań była nader urozmaiconą, niektórzy opisywali najważniejsze lub najbardziej wzruszające zdarzenia, inni — najprzyjemniejsze. Sądziimy, że nie tylko biorący udział w konkursie, ale i inni czytelnicy

Wieczorów dowiedzą się chętnie, jakie to bywają najważniejsze lub najprzyjemniejsze dni z życia ich rówieśników, i to rówieśników pilnych i myślących, bo zdających sobie dokładnie sprawę ze swych wrażeń i mogących je opisać z większą lub mniejszą umiętnością.

Więc opis przystąpienia do pierwszej Komunii św. i podniosłych wrażeń tego dnia tak ważnego w życiu, nadesłali: Wodna lilijka, Raczek z Siedlisk, Kazio P. i Dębczak; pierwsze rozstanie się z domem rodzinnym skreślił z przejęciem Ułan, a radość przy wstaniu z łóżka po 8-o miesięcznej chorobie — Turkawka. Dalej mamy wielu amatorów i amatorów podróży, bo wrażenia z pierwszych wycieczek lub wypraw pokaźne zajmują miejsce wśród „najprzyjemniejszych” dni w życiu. Przeczytaliśmy zatem: pierwszą jazdę koleją, (Henryk Zam. Szczebiotka), pierwszy wyjazd na letnie mieszkanko (Strzelec), podróż do Zakopanego (Szarotka), Częstochowy (Brzózka), dzień w Warszawie (Wisienka), w Krakowie (Sokół z nad Wisły), w Wenecyi (Jamba) wreszcie wrażenia odniesione z ujrzenia po raz pierwszy morza (drugi Raczek z Siedlisk).

Z kolei wyliczyć musimy: opis uroczystych i wesołych imienin dziadka przez Jodełkę z nad Wilii, majówkę z burzą i piorunami przez Rucia K., Okrężne przez Pojatę, polowanie na wilków przez Myśliwego i t. p. Edmund G., który niestety nie podał nam swego wieku i musi pozostać poza konkursem, opowiedział z wielkiem zajęciem zdarzenia z życia koleżeńskiego. Błędny Ognik z Pińska opisał fantastyczny sen na łące i rozmowę z wróżką, mającą uosabiać piękność przyrody, wreszcie Lubiana skreśliła barwnem i żywym piórem udatny opis letniego popołudnia na wsi, zakończony spełnieniem dobrego uczynku. Jest to najlepsza rzecz z tegorocznego konkursu, zdradzająca pomimo niektórych usterek, żywe odczucie przyrody i łatwość w przelewaniu swych myśli na papier.

Wynik konkursu, który ogłaszamy z ogólnem zaleceniem dbałości o poprawność i czystość mowy, jest następujący:

**Nagrody w książkach otrzymują:**

14 letni: Lubiana i Myśliwy.

13 letni: Strzelec i Turkawka..

12 letni: Błędny ogień z Pińska i Szarotka.

11 letni: Ułan, Wodna lilijka i Ilcia Morst (Raczek z Siedlisk).

10 letni: Sokół z nad Wisły i Szczebiotka.

9 letni: Jodełka z nad Wilii i Dębczak.

**Na odznaczenie zasłużyli:**

Edmund G., Helcia Morst. (Raczek z Siedlisk), Pojata, Henryk Zam., Brzózka, Jamba, Porucznik Saul i Pstrąg.

Kto z nagrodzonych nie może odebrać książki w Redakcyi „Wieczorów,” zechce nadesłać 14 kop. markami na kosztą przesyłki.

## ZE ŚWIATA.

Wielki prom na jeziorze Bajkalskim. — Pożyteczny garb. — Najczystsza rzeka. — Siła płuc u lwa. — Fabryka przedzy pajęczej. — Największe w świecie liście. — Maki w kopalni. — Podanie szkockie o oście.

Kolej Syberyjska, która połączy wzdłuż tak zwanego starego kontynentu dwa oceany: Atlantycki i Spokojny, wkrótce zostanie ukończoną; już obecnie pociągi dochodzą regularnie do Irkucka. Ale linię drogi za Irkuckiem przecina wielkie jezioro Bajkał, uważane przez miejscowych Buryatów za morze, bo choć wodę ma słodką, lecz żyją w niej fok i na dnie znajdują się korale i gąbki.

Bajkał ma długości 630 wiorst a szerokości od 20 do 60.



Zanim wykończą plant kolei naokoło jeziora, co wymaga wiele czasu i pracy, bo drogę tę trzeba wykucnąć w skałę, komunikacja kolejowa między dwoma brzegami urządzoną została na wzór amerykański, za pomocą olbrzymiego promy, na który wjeżdżają z brzegu całe pociągi bez przeładowywania towarów i przesiadania podróżnych.

Prom ten, wykonany w Anglii, sprowadzono nad Bajkał w drobnych częściach i tu złożono pod kierunkiem inżyniera Zabłockiego, rodaka naszego. Licząc 24 sążni długości i 8 szerokości, wygląda on jak kadłub wielkiego okrętu bez masztów. Prom może zmieścić pociąg złożony z 25 wagonów, a oprócz tego posiada wspaniałe kajuty i salony. Spuszczenie promy na wodę odbyło się d. 29 czerwca r. b. Zimą prom za pomocą odpowiedniego przyrządu, będzie mógł przecinać lód dwustopowej grubości.

Znajdujący się na grzbiecie dromadera garb, jest nagromadzeniem tłuszczu, którym zwierzę zasila się w chwilach głodu, na jaki często bywa narażone. Dzięki owym zapasom tłuszczu, tak dromader jak wielbłąd mogą obchodzić się długo bez pożywienia.

Chemicz amerykański, zwiedzając niedawno Indye, robił chemiczny rozbiór wody Gangesu i stwierdził, że niema w niej żadnych zarodków bakterii, znajdujących się w tak wielkiej ilości w wodach wszystkich innych krajów na całej kuli ziemskiej. Dowodzi on nadto, że Ganges nie tylko sam wyróżnia się wyjątkową czystością, ale posiada jeszcze własność oczyszczania z bakterii wszystkie dopływające do niego. Tłumaczy nam to w części dla czego Hindusi poczynają rzekę za świętą, i tak zalecają kąpiele w jej nurtach.

Dowiedzionem jest, że na krótką metę bieg lwa i tygrysa przędszy jest od biegu człowieka i dorównywa szybkości biegu konia, ale najdalej po półmiloj goniwie, zwierzęta te tracą wdech. Nie są one też zbyt na trudy wytrzymałe, w skutek słabości płuc swoich. Siła ich jednak, choć krótkotrwała, przy pierwszym zwłaszcza natarciu bywa straszliwą. Sętanego lwa, nie mogącego nawet poruszyć ogonem, sześciu ludzi zaledwie utrzymać zdoła.

Fabryka przędzy pajęczej istnieje w Chalais-Meudon pod Paryżem; wyrabiają z niej liny do balonów wojskowych i, jak dotąd stwierdzono, ta przymusowa praca nie wyrządza szkody pająkom. W grupach po dwanaście sztuk puszczają owady na ruchome kółka, dokoła których prząść muszą swoje nici i nie są zwolnione, póki każdy nie namota

30 do 40 metrów nitek. Zewnętrzna klejowatość takiej przędzy zmywają starannie, a następnie skręcają ją do odpowiedniej grubości, robiąc z niej liny do balonów, o wiele mocniejsze i lżejsze od sznurów z jedwabiu.

Największe znane dotychczas liście pochodzą z palmy, rosnącej na wybrzeżach rzeki Amazonki; długość tych liści wynosi od 30 do 50 stóp a szerokość od 10 do 12 stóp.

Zarzuconą od lat 200 kopalnię srebra w Laurium wypełniały fuzy górnicze, zostawione tam przez robotników. Przed niedawnym czasem fuzy te zabrano do przetopienia i wyciągnięcia z nich pozostałych cząstek srebra. Po usunięciu rumowiska, wewnątrz kopalni przybrało wręcz odmienny pozór: zamiast stosów śmiecia, ujrano ogród pełen barwnych maków. Całe dwa lata nasionka owych kwiatów spoczywały na dnie kopalni, a gdy po uprzątnieniu fuzów doszło do nich powietrze, pod jego działaniem roślinki wnet ożyły i zakwitły.

Ludowa legenda szkocka opiewa, że za czasów napadu Duńczyków na Szkocję, podchodzenie nocą nieprzyjaciela uważane było za czyn niegodny rycerzy, mogących stawać tylko w biały dzień, jawnie do bitwy. Razu jednego napastnicy, chcąc przeciwników zaskoczyć zniemacka, umyślili uderzyć na nich w nocy, a dla zachowania dłużej tajemnicy pochodzą zdjęli z nóg obuwi i szli boso. W ten sposób zbliżali się niepostrzeżenie do wojska szkockiego, gdy przypadkiem jeden z Duńczyków nastąpił gołą stopą na oset koleczasty. Z bólu mimowoli krzyknął, a ostrzeżeni tym krzykiem Szkoci, chwycili za broń i odparli napastników. Przez wdzięczność za odniesione zwycięstwo, Szkoci między godła kraju swego pomieścili oset.

## Nowe książki nadestane do Redakcyi:

**Dla młodzieży.** Otrzymaliśmy aż dwa tłumaczenia jednej i tej samej książki słynnego włoskiego autora Amicisa „Cuore,” jedno w przekładzie Józefa Nestorowicza p. t. „Dzienniczek ucznia,” drugie w przekładzie Maryi Obrąpalskiej p. t. „Serce.” Jest to pamiętnik młodego chłopca, żywo i prawdziwie z sercem pisany, a przeplatany listami ojca i matki, pełnymi pięknych i szlachetnych rad i myśli.

**Dla starszych.** Nakładem L. Idzikowskiego w Kijowie, wyszła w tłumaczeniu S. Stawceńskiego książka gen. Dragomirowa p. t. Joanna d'Arc.

**Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY na kwartał IV-ty dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.**

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

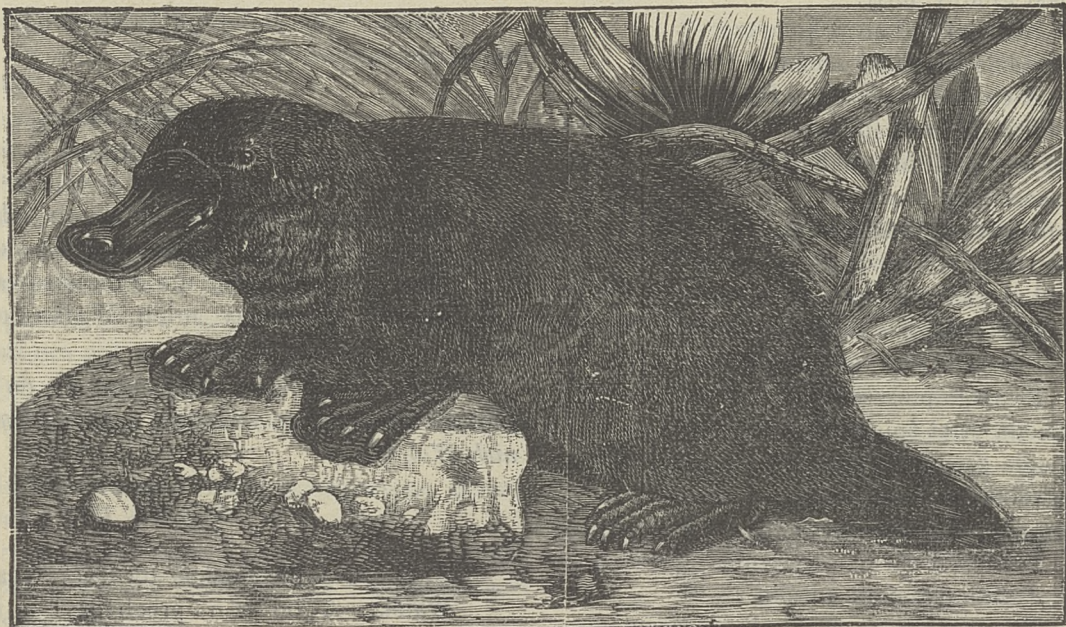
W Austrii kwartalnie zhr. 1 cent. 75 (3½ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

**TREŚĆ:** Jubileusz biskupa kieleckiego (z portretem i rycinami) — Wzajemna pomyłka, powieść p. Teresę Jadwigę. — Pogadanki z astronomii, przez Pawła Trzczińskiego. — Jan Niewdzyd, powieść z dawnych czasów przez Zuzannę Morawską (c. d.) — Rycina do pow. „Trzydzieści lat wśród dzikich.” — Sprawozdanie z konkursu na wypracowanie. — Ze świata. — Nowe książki. — **Dodatek:** Ptak, czy zwierzę ssące? (z ryc.) — U dobrej Zosi, wiersz przez Irenę M. — Poświęcenie, komedyjka w 1-m akcie przez Z. Potworowską (dokończenie). — Ciotka Iza. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — **Dodatek książkowy:** Trzydzieści lat wśród dzikich, przygody Ludwika de Rougemont, opracowała dla młodzieży Walerya Marrené.



# WIECZORY RODZINNE



## PTAK, CZY ZWIERZĘ SSĄCE?

**D**obry wujaszka swego, uczzonego profesora, mały Kazio chodzi zawsze bardzo chętnie, bo ileż tam rzeczy ciekawych oglądać może! Cały gabinet wujcia zastawiony jest różnemi wypchanemi ptakami i zwierzątkami. Kazio przypatruje się im godzinami całemi, a jeśli wuj ma trochę wolnego czasu, opowiada mu, gdzie i jak które z tych stworzeń żyje, a Kazia więcej to zabawia aniżeli nawet książeczka z obrazkami, z której przesłiczne czyta bajeczki. Ale oto dzisiaj, gdy wbiegł do pokoju i przywitał wujcia, spostrzegł na stole nieznane stworzenie, jakiego jeszcze w życiu swem nie widział.

— Wujciu, co to za śmieszna kaczka! — woła zdziwiony.

— Dlaczego nazywasz to stworzenie kaczką? — pyta wuj, odkładając na bok książkę.

— Bo... bo ma przecie dziób zupełnie jak kaczki, tylko jeszcze większy — odpowiada chłopiec.

— Ale kaczki są ptakami, a przypatrz się uważnie, czy to stworzenie rzeczywiście ma cechy ptaka. Zlicz jego nogi, zobacz, czy ma skrzydła i zauważ, czem ciało jego jest pokryte.

— Ach, prawda! wujciu, ptaki mają dwie nogi, a tu widzę cztery, skrzydeł też wcale niema, i nie pierze, tylko brunatna szerść je pokrywa.

— A więc? — pyta wuj z uśmiechem.

— Już ja nie wiem wcale co myśleć, bo przecie znowu czworonogich zwierząt z dziobami niema na świecie...

— Powiedz raczej, żeś ty takich nigdy jeszcze nie widział, bo też nie łatwo się nam z takimi spotkać. Sko-

ro wszakże tak bardzo zaciękało cię to osobliwe stworzenie, chętnie opowiem ci o niem.

— Jaki wujaszek dobry! — zawołał Kazio.

— Otóż, wiedz przedewszystkiem, że stworzenie to jest zwierzęciem ssącym, tak jak wszystkie czworonogie, jak koń, pies, lub baranek, a tylko pysk jego ma kształt dzioba ptasiego, co mu właśnie nadaje tak odrębny wygląd. Z powodu też tego dzioba, zwierzę otrzymało nazwę *dziobaka*. Ojczyzną jego jest Australia, owa piąta część świata, w której pełno jest takich osobliwości w świecie zwierzęcym. Ale i tam nawet poznanie dziobaka, z natury płochliwego, przedstawiało uczonym wiele trudności. Dziś wiemy, że żyje on przeważnie w wodzie i doskonałym jest pływakiem, mając palce u nóg, podobnie jak wydra, połączone błonami.

We dnie ukrywa się w norach, które sobie kopie u wybrzeży rzek i tam też wychowuje swe małe, długi czas zupełnie niedołęzne; — nocami dopiero zwykle wychodzi na żer.

— A czem on się żywi ten dziobak? — pyta Kazio.

— Głównie roślinami, które swym płaskim, szerokim dziobem zrywa i miażdży.

— Ale ile on ma zębów w tym dziobie?

— Ani jednego. Tak samo jak u gęsi lub kaczek, przedłużone jego szczęki pokryte są skórą, zaopatrzoną jedynie w tak zwane blaszki rogowe.

Muszę też przyznać, że pomyłka twoja nic mię nie zdziwiła, bo długi czas ludzie poznawszy dziobaka, zadawali sobie pytanie, czy to jest ptak, czyli też zwierzę ssące.



## U dobrej Zosi.

Siedzi kotek na podłodze,  
Miauczy w niebogłosy.  
Zdaje się tak skarżyć srodze,  
Że jest głodny, bosy.

Że zamknęli go w komorze,  
Gdzie ciemność niemiła,  
A co gorsza, żadna myszka  
Tam nie zabłądziła.

Wszyscy poszli na śniadanie,  
On zamknięty siedzi —  
Cóż dziwnego, że nad losem  
Swoim tak się biedzi?

Lecz na szczęście, mała Zosia  
Bardzo kotka kocha,  
Posłyszawszy tedy krzyki  
Swojego pieszczocho,

Porzuciła wnet śniadanie,  
Pobiegła czempredzej,  
By uwolnić go z więzienia,  
Pocieszyć w tej nędzy.

I w chwil parę na dywanie  
Już się rozsiadł kotek,  
Nie zbrakło mu tkliwych pieśczoł,  
Ni smacznych łakotek;

I wstążeczkę nawet dostał  
Czerwoną na szyję.  
Dobrze temu, kto u dobrej  
Opiekunki żyje.

Irena M.

## POŚWIĘCENIE.

KOMEDYJKA W 1 AKCIE.

P. Z. Potworowska.

(Dokończenie).

### SCENA 9.

Janek, Staś, Joasia.

Staś. Są laski. Jest ich pięć.

Janek. Ja nie pojadę.

Staś. Co? co ty mówisz?

Joasia. Z pewnością ma w głowie nowego figla.

Janek. Wcale do figlów nie mam w tej chwili ochoty.

Joasia. A dla czego mówisz, że nie pojedziesz.

Janek. Bo nie pojadę.

Staś. Możesz co zbroić?

Janek. Może...

Staś. Z pewnością coś zmajstrował.

Joasia. Ty zawsze łapu — capu, aby prędzej i masz teraz!

Staś. Trzeba majówkę odłożyć — czy w takim razie mógłbyś pojechać.

Janek. Mogłbym, ale majówki odłożyć nie można, bo dałem słowo, że będzie jutro, a uczciwy człowiek słowa danego nie łamie nigdy. (wchodzi ojciec).

### SCENA 10.

Ciż sami i ojciec.

Ojciec. Czy Janek gotów do drogi. (Janek wychodzi, ojciec za nim).

### SCENA 11.

Joasia, Staś.

Staś. Co to się stało? Gdzie on jedzie?

Joasia. Ale co to będzie za majówka bez Janka!

Staś. On najlepiej umie majstrować przy ławkach.

Joasia. Będziemy mieli Walka, on jeszcze lepiej potrafi.

Staś. Zły jestem na Janka! ale co on zrobił i gdzie jedzie. Chodźmy to wszystko zbadać. (wychodzą, wpada na nich Walek).

### SCENA 12.

Staś. Czy nie możesz uważać? wpadasz jak bomba.

Walek. A bo pan przebaczył i jestem okrutnie szczęśliwy, a wszystko bez panicza Janka.

Joasia. Jużes zdążył coś zbroić?

Staś. Chodź Joasiu, bo Janek odjedzie — no chodź prędko. (wychodzą).

### SCENA 13.

Walek (sam).

Walek. A gdzie panicz jedzie? Polecieli; pewno panicz z panem na wieś pojedą. O rety! jaki ja szczęśliwy! Mój kochany panicz przyleciał do mnie, kiej ten wicher, złapał mnie za rękaw i powiedział, wyraźnie powiedział: „tatuś nie gniewa się już na ciebie, przebacza ci, ale pamiętaj, że to ostatni raz.” A potem jeszcze panicz wrócił się i dodał: „lepiej teraz nie pokazuj się tatusiowi i o kompasie nic nie mów.” Hi, hi, hi! abo ja głupi o tem gadać... a jak pana obaczę, to będę zmykał kiej ten zajac. (wchodzi Basia).

### SCENA 14.

Basia. Walku, gdzie Janek pojechał?

Walek. Na wieś pewno, ja tam nie wiem. (wchodzi ojciec, Joasia i Staś).

### SCENA 15.

Ojciec, Staś, Joasia, Basia, Walek.

Ojciec. No dzieci, przyszedłem wam pomódz w przygotowaniach, bo bez Janka może sobie rady nie dacie.

Basia. A kiedy tatusiu Janek wróci?

Ojciec. Jutro nad wieczorem.

Basia. Jakto? a majówka? przecież majówka bez Janka obyc się nie może... ja nie pojadę!

Ojciec. Wakacye długie, kiedyindziej urządźcie drugą majówkę z Jankiem.



**Basia** (*na wpół z płaczem*). Ale tatusiu, Janek tak się cieszył na majówkę; dla czegoż dzisiaj właśnie...

**Ojciec**. Zasłużył na karę... Zepsuł kompas...

**Basia** (*przerzywa*). Janek zepsuł kompas?

**Walek**. O rety! to panicz powiedział, że to on!

**Ojciec**. Co ci jest Basiu? czego Walek się tak przeraził.

**Basia**. Ach tatusiu! tatusiu!

**Walek** (*na stronie*). Co ja teraz zrobię? o Jezu! rety! co ja teraz zrobię?

**Ojciec**. Dzieci kochane, co wam jest?

**Staś**. Walek ma minę, jakby znowu coś zbroił.

**Ojciec**. Dla czegoż was ten kompas tak przeraził?

**Walek** (*pada na kolana*). Niech ta mnie i pan wypędzi! niech mnie pan zbije na kwaśne jabłko, ale ja nie mogę... ja muszę powiedzieć... ja... ja... proszę wielmożnego pana, to nie panicz, to nie panicz, to ja... ja zepsułem ten pompas i tam mu coś we wnętrzu złamałem.

**Ojciec**. Ty?

**Basia**. Ach, tatusiu, jaki ten Janek pocziwy, jaki dobry...

**Ojciec**. Masz słuszość, Basiu, pocziwego, dobrze go macie braciszka.

**Walek**. Proszę wielmożnego pana, ja wezmę szkapę i dognam panicza, a potem sam, ja... ja... pójdę świnki paść... pójdę... pójdę... (*placze*).

**Ojciec**. Podziękujesz Jankowi za moje przebaczenie, Walku, a teraz biegnij do Walentego i każ zaprzęgać do powozu; cała trójka z Walkiem pojedzie po Janka.

**Walek**. Proszę pana, to ja ostanę przy kredensie?

**Ojciec**. Zostaniesz. Podziękuj za to Jankowi.

**Dzieci** (*razem*). Chodźmy do stajni.

**Staś**. Tatusiu, siwki pójdą, dobrze? Janek najlepiej lubi siwki.

**Ojciec** (*z uśmiechem*). Niech będą i siwki.

(*Dzieci wybiegają z hałasem i śmiechem*).

*Kurtyna spada.*

## Ciotka Iza.

(Dalszy ciąg).

— Jakaś ty dobra cioteczko — powtarzała Nina, pełna uwielbienia — czym ja tego warta, czy ja ci się potrafię wywdzięczyć!

— Oddasz to samo drugim, moje kochane dziecko — odpowiedziała ciotka!

Stały jeszcze na środku pokoju, jedna w objęciach drugiej, gdy na progu ukazała się pani Zalińska z Marychną.

— A to co — zawołała pierwsza — czy trafiłyśmy na chwilę jakiego pożegnania, czy ciotka Iza gdzie wyjeżdża?

Nina w tejże chwili podbiegła do przybyłych.

— Ach nie, wcale nie, ja dziękuję cioci Izi, bo proszę, niech panie spojrzą — i wyciągnęła rękę w stronę fortepianu.

Pani Zalińska i Marychna jednocześnie zamiast na fortepian, spojrzały na ciotkę Izę i odrazu zrozumiały co znaczyło oddalenie służącej, połatana jej suknia, wytarty płaszcz i wiele, wiele innych drobnych braków, nie spostrzeżonych, zdaje się, przez nikogo!

Marychna miała łzy w oczach, Nina pobiegła do ciotki.

— Ach, ja bardzo, bardzo kocham moją opiekunkę.

— To też Nina niech się w dalszym ciągu dobrze uczy, robi postępy w muzyce, a da dowód tej miłości, o której mówi — rzekła pani Zalińska — a teraz dziewczątka może spróbujecie fortepianu i zagracie nam co na cztery ręce.

Marychna z Niną ochotnie wykonały polecenie pań.

Grały dobrze, zachowywały takt, szczególnie Ninka mimo, że była od Marychny młodszą, z wprawą wykonała dość trudne pasaze. Pani Zalińska pochwaliła muzykę.

— Nina ma talent — rzekła, zwracając się do ciotki Izy — wartoby ją kształcić wyżej w muzyce.

— Tak też sędzę — odpowiedziała ciotka — i w tej myśli kupiłam fortepian. Za rok, za dwa, gdy postępy zrobi większe, oddać ją zamierzam do szkoły muzycznej, wszakże to ma stanowić o jej przyszłości; innej nie jestem w stanie jej zapewnić.

— Wiesz Ninko — mówiła Marychna — zaprosiłam wszystkie dziewczynki, które tu u ciotki poznałam na nauce i Franię także; prawda, przykroby jej było gdybyśmy ją pominęły, jest grzeczna zawsze i dobrze wychowana, słusznie jej się także zabawa należy.

— Tak — rzekła Nina — skoro się razem z nią uczymy, to daczegoż nie miałybyśmy się zabawić razem, ach Marychno, jak ja się cieszę!

Marychna cieszyła się także, opowiadała, że z Kazią mają jeszcze bardzo dużo zajęcia, że muszą same pousuwać niektóre meble z pokoju, aby było dużo miejsca do biegania i tańca, że nawet w przyrządzaniu kolacyi, mamie pomagają będą.

Gawędziłyby jeszcze bardzo długo, gdyby pani Zalińska nie dała hasła do odejścia.

— A zatem kochana ciotko Izo, czekać was jutro będziemy, nie odmówcie mi tylko, wszak z przyjemnością popatrzymy, jak się dzieci bawić będą, słusznie należy im się zabawa; cały rok sumiennie pracowały.

Wyszły; dla Niny nowa sposobność do wybuchów radości.

— Więc cioteczka przyrzekła, że będziemy?

— Tak, dziecko.

— Ach, jaka ciocia dobra, ale... — dodała po chwili — jak ja się ubiorę?

— Jak?... w twoją różową, perkalową sukienkę, najlepszą jaką posiadasz.

Nina skrzywiła się niechętnie.

— Ona przecież brudna, ciociu?

— Wiem o tem, to ją się też upierze.

— Ach, prawda, uprać można, to dobrze; a do war-kocza wplecie mi ciocia tę piękną różową wstążkę, którą ma w komodzie, prawda?

— Tak, kochanko!

(d. c. n.)



## SZARADA 1.

przez Z. P.

Liczne minęły *drugie i trzecie*,  
I dużo ich jeszcze minie,  
A *pierwsze* w kraju włoskim, jak wiecie,  
Wciąż sobie płynie i płynie.  
*Wszystko* zaś nakształt parasolików,  
Zawsze dogodnie nam służy,  
Kiedy jaskrawych światła promyków  
Bogactwo, wzrok nam już znuży.

## SZARADA 2.

Ułożyła Sarenka.

*Pierwsze* przeróżne bywają,  
I zwykle nas zabawiają.  
Wspak *drugim* mówisz nam przecie,  
Że nikt prócz ciebie na świecie.  
*Wszystkiego* strzeżcie się dzieci,  
Bo brzydko twarz naszą szpeci.

## ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

Ułożył Bystry Sokół.

Zastąpić kropki literami, aby  
rząd pierwszy oraz pierwsze lite-  
ry złożyły nazwę miasta w Europie.  
rząd 2) część świata. 3) Miasteczko w  
ks. Poznań. 4) Miasto w gub. Mińskiej.  
5) Pora roku. 6) Gatunek papug. 7) Sylaba.  
8) Samogłoska.

## ARYTMOGRYF.

Ułożył Zdzisław R.

- 1) 22, 10, 3, 12, 15, 8. Nazwa Normandów.
- 2) 8, 11, 11, 8, 3, 10. Kraj w Europie.
- 3) 13, 10, 3, 22, 10, 11. Zwierzę z gat. wielorybów.
- 4) 9; 5, 3, 5, 11. Apostoł Słowian południowych.
- 5) 12, 3, 8, 12) Jezioro w Ameryce północnej.
- 6) 13, 8, 14, 21, 24, 21, 11, 8. Twierdza w Bulgarii.
- 7) 23, 3, 17, 1, 10, 6, 17, 3. Nazwa poetów fr. z wieków [średnich].
- 8) 5, 24, 12, 3, 13. Miasto warowne w Belgii,
- 9) 19, 10, 13, 23, 12. Wyspa jońska.
- 10) 16, 21, 1, 21, 11. Zwierzę z gromady kur.
- 11) 19, 12, 1, 3, 10. Zwierzę z działu dwukopytnych.
- 12) 10, 3, 10, 15, 21, 13, 8, 10. Kraj w Hiszpanii.
- 13) 4, 12, 22, 10. Ptak z grom. pletwonogich.
- 14) 21, 16, 23, 3, 21, 15, 21, 9, 8. Dawne plemię germ.
- 15) 23, 17, 11, 8, 24, 10, 13. Roślina z rodz. liliowatych.
- 16) 17, 24, 8, 21, 3. Gatunek małpozwierza.
- 17) 7, 21, 5. Zwierzę z rzędu pełnorogich.

Zastąpić liczby literami tak, aby początkowe utworzyły imię i przydomek rycerza znanego z bitwy pod Płowcami.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 37-go

Szarady: Na — ren — ta. (Na, Ren, ta).

Zagadki: Nożyczki.

## Łamigłówki kropkowanej:

Pola, gdzie żniwa w plony obfite  
Stajami świecą, jak dojrzy okiem,  
I łąki wonnem kwieciem pokryte,  
Wody szumiące jasnym potokiem,  
Słońce, co złotem gaje powleka,  
Pełne uroku, jak przyjaźń czleka;  
Tam zeszedł błogo życia początek;  
Tam jest mój luby rodzinny kątek.

## Łamigłówki w kwadracie:

T	a	m	e	r	l	a	n
S	i	e	l	a	n	k	a
M	a	m	e	l	u	c	y
G	a	m	b	e	t	t	a
W	a	n	k	u	w	e	r
W	i	e	l	o	k	ą	t
M	a	n	o	m	e	t	r
J	u	n	g	f	r	a	u



## Skrzynka do listów.

Mimo najszczerzejszych chęci nie możemy małemu **Dudkowi** przesłać żadanego numeru, bo nie wiemy, gdzie znajduje się jego gniazdko. Niech więc Dudek poda swój adres. Tymczasem życzymy powodzenia w naukach.

Wogóle prosimy **naszych czytelników**, aby pisać do nas o brakujące numera lub jakie przesyłki, prócz podpisu załączali także dokładny adres, pod którym otrzymują Wieczory (stacya pocztowa, wieś i t. p.). W przeciwnym razie musimy znowu zapytować o adres w Skrzynce do listów, czekać nowego listu i obie strony doznają z tego powodu niepotrzebnego kłopotu i zwłoki.

Z wielką przyjemnością odczytaliśmy obszerny list **Marylki W.**, w którym znajdujemy dużo poważniejszych myśli obok szczerzego uмиłowania natury. Podzielamy też w zupełności twę zdanie, że spokojne życie wiejskie daje więcej warunków do zdobycia owego cichego zadowolenia i spokoju, które tak lubisz, niż ruchliwe życie w wielkiem mieście.

Kwiatek szarotki, który nam przysyłasz **Srebrna Gwiazdka**, jako upominek z odbytej podróży po Tyrolu, jest nam wielce miłym dowodem twej pamięci. Cieszymy się też szczerze, że zdrowie Szanownej twej mamy tak znacznie się poprawiło i mamy nadzieję, że odtąd służyć jej będzie jaknajlepiej.

Własnego układu łamigłówki i szarady nadesłali: **Marylka W.**, **Zosia** i **Tadziunio**, **Biała chmurka**, **Germek** i **Motylek**.

Dobre zaś rozwiązania: **Rodzeństwo z P.**, **Konik**, **Stefanek Z.**, **Wandzia J.** oraz **Siwa** czapla.

Przyfrunęłam już do Warszawy, do moich kochanych korespondentów i korespondentek, których serdecznie pozdrawiam. Po długim odpoczynku na wsi z przyjemnością wezmę się do pióra, tak jak wy do waszych zajęć po-wakacyjnych. Tymczasem odczytałam wypracowania przesłane na konkurs, a w następnym numerze na listy odpowiadać będę.

wasza

Jaskółka.

Poszukuje się dziewczynki 13-letniej do wspólnej nauki.  
Wiadomość Trębacka Nr. 4 m. 10—pomiędzy 10-ą a 2-ą